TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Marja Kuncewiczowa
Jan Lechoń
Scrutator
Wacław Solski
Stanisław Stroński
Marja Werten
Tadeusz Zajączkowski

Vol. 3. Nr. 16 (121) Nowy Jork, 22go kwietnia — New York, 21, N. Y., April 22nd, 1945 Cena 20 ct.

PREZYDENT ROOSEVELT

Śmierć prezydenta Roosevelta w przededniu ostatecznego zwycięstwa i wejścia Amerykanów do Berlina jest w rozgrywającym się dramacie dziejowym wielką tragiczną sceną o patosie szekspirowskim. Nikt kto czuje wielkość, kto zdolny jest zarówno ogarniać historyczne perspektywy, jak też mierzyć przeciwieństwa naszych zamysłów i naszego przeznaczenia nie może być obojętny na odejście tego wielkiego człowieka, który tyle zdziaławszy swą myślą i swą wolą dla wielkiego dzieła, dziś uwieńczonego przez zwycięstwo, zamknięte ma jak Mojżesz — wejście do Ziemi Obiecanej.

Tragizm i patos śmierci prezydenta Roosevelta są wyróżnieniem, świadczącem o jego wyjątkowem przeznaczeniu. Jego niezwykły życiorys przez ową śmierć niesprawiedliwą staje się jedną z legend bohaterskich, uczących nas prawdy walki, cierpienia i nieoddzielnego od wszystkiego co ludzkie — zawodu.

Jakkolwiek żywe byłyby i istotne różnice zdań w samej Ameryce i w świecie co do dokonań Franklina Roosevelta dla Stanów Zjednoczonych i co do jego roli w polityce światowej — sama namiętność tych sprzecznych opinji świadczy o niezwykłości, o rozmiarze duchowym postaci odeszłej dzisiaj nie w cienie ale w blask historji. Nikt też nie wątpi, że jeśli prezydent Roosevelt zostanie na zawsze nietylko w dziejach Ameryki ale i w powszechnych — to bynajmniej nietylko dlatego, że w jednym z najbardziej przełomowych okresów stał na czele potężnego mocarstwa, które zdecydowało o zwycięstwie w największej wojnie świata; nikt z wrogów Roosevelta odmówić mu nie może zasługi że wielka decyzja powzięta przez Stany Zjednoczone w tej wojnie — była przedewszystkiem jego decyzją i że to on uczynił ją wolą pospólną całej Ameryki.

Jest to już prawdą banalną, że historja świata pisana jest przez masy ludzkie i przez niezwykłe jednostki, wśród tych jednostek przecież większość stanowią takie, których wielkością, niemal genjuszem jest zdolność wyczuwania woli ogólnej i podążania za nią. takiemi wielkiemi wyrazicielami ogólnej woli i zbiorowego instynktu byli wśród innych napewno Ludwik XIV i królowa Wiktorja.

Prezydent Franklin Roosevelt, trzymając się zawsze ram zakreślonych mu przez prawo, odwołując się wciąż do woli ludowej, czynił przez dwanaście lat swoich rządów w Ameryce, to co było jego wolą, jego myślą, jego pojęciem ogólnego dobra. Że w najbardziej demokratycznym kraju świata potrafił zawsze uzyskać zgodę, nieraz entuzjazm ogółu dla swej woli — to samo już było świadectwem jego wielkości.

W kraju tym, gdzie napozór ideałem ogólnym jest jednoznaczność, tożsamość, gdzie zdanie doskonałe jest to zdanie ogólne, gust najlepszy jest to gust przeciętny — Franklin Delano Roosevelt utrzymał się przy władzy dłużej niż ktokolwiek z jego poprzedników, rządził bardziej samodzielnie niż którykolwiek z Prezydentów i budził miłość tłumów dlatego właśnie że był inny niż większość, że odwołując się wciąż do demokracji, działając świetnie dla niej, był zaprzeczeniem przeciętności, że robił wrażenie, iż jest inny, lepszy niż ludzie zwykli.

Miłość, jaką właśnie ludzie zwykli, a zwłaszcza biedni i upośledzeni darzyli prezydenta Roosevelta była przedewszystkiem wdzięcznością za troskę o owego zwykłego człowieka, przenikającą całą wewnętrzną politykę amerykańską przez trzynaście lat od chwili, gdy Roosevelt środkami bliskimi rewolucji opanował kryzys, rujnujący bogatych, ale przedewszystkiem skazujący na śmierć głodową biednych.

Ci biedni, upośledzeni, zbyt słabi aby zwyciężać w młodem a więc okrutnem, wielbiącem ponad wszystko siłę i sukces życiu amerykańskiem — znaleźli w reformie rooseveltowskiej nietylko ulgę, oparcie materjalne ale, co ważniejsze, pociechę i nadzieję, mistyczne poczucie że nie są osamotnieni i bezbronni, że jest ktoś kto myśli o nich, przez którego przemawia coś co jest silniejsze niż siła i ważniejsze niż sukces.

Żadne wątpliwości polityczne, żadne nieraz bardzo roztropne i z najlepszej woli płynące argu-

menty, żadne błędy administracji rooseveltowskiej nie zdołały nigdy umniejszyć w sercach tych miljonów wydziedziczonych i słabych — wiary instynktownej w wielkość Roosevelta i wdzięczności za to co uczynił dla prostych ludzi. Wszystkie najbardziej polityczne i matematyczne przewidywania wyborcze rozbijały się o tę wzruszającą wdzięczność i o tę piękną legendę.

To, że Franklin Roosevelt, broniąc wydziedziczonych nie działał w imię swych wspomnień, nie korzystał z doświadczeń własnego życia, że pojął biedę, sam jej nie doznawszy nigdy, że był wielkim demokratą nie z urodzenia ale z własnej woli, będąc sam urodzonym patrycjuszem — to wszystko do wdzięczności ludowej dodawało coś irracjonalnego, bajkowego, coś niemal z owego naiwnego sentymentu, którym Anglicy darzą swych królów.

Franklin Roosevelt przy wszystkich oczywistych różnicach miał w sobie coś z wielkich twórców demokracji polskiej, z których tylu wyszło z zasobnych dworów. Miał on przystępność, która przecież nie pozwalała na poufałość, w której było coś z monarszej łaskawości; tłumy, jak chleba pragnące bajki i świetności były mu wdzięczne również za te gesty i tę postawę.

Świadomie, konsekwentnie, z mistrzowstwem wielkiego taktyka polityki wewnętrznej zmierzając do udziału Ameryki w wojnie przeciw Niemcom— działał Roosevelt w imię tego samego idealizmu, którym powodował się w swych reformach wewnątrz.

Nie konflikty ekonomiczne, nie interesy imperjalne ale ideologiczna przepaść między amerykańską wolnością a nazistowską niewolą sprawiła, że Roosevelt użył swego genjuszu perswazji, swej woli niezłomnej, swej nieporównanej znajomości społeczeństwa amerykańskiego, aby przygotować go do decyzji, której napad Japończyków na Pearl Harbor był tylko dramatycznem i pouczającem przyśpieszeniem.

Walcząc z Niemcami i Japonją, tworząc w przeciągu trzech lat najpotężniejsze w historji lotnictwo, flotę i przemysł wojenny, przewodząc czynom wiekopomnym inwazji dwu kontynentów, oswabadzając pół Europy ze straszliwej niewoli — uczynił to prezydent Roosevelt w imię miłości człowieka, w imię tych ideałów, którym służyli Washington, Lincoln i Wilson.

Dzisiaj na dzień czy dwa przed wejściem Amerykanów do Berlina czyż można wątpić, że prezydent Roosevelt przejdzie nazawsze do historji jako jeden z największych zwycięzców wszystkich czasów jako ten, który zniszczył bluźnierczą potęgę, powstałą przeciw wszystkiemu co ludzkie.

I wszyscy zarazem zdajemy sobie sprawę, że dzieło jego zaczęte z tak właściwą Ameryce prostolinijnością, z idealizmem tak bezwzględnym, doznało wypaczenia w zeknięciu się i w kompromisie z siłami, nad któremi prezydent Roosevelt, tak samodzielny nawewnątrz Ameryki, nie mógł panować i którym po walkach dramatycznych a niedość jeszcze ogółowi znanych uczynił, w zamyśle swym najpewniej tylko taktyczne ale przecież ustępstwa.

Opór, który ideom Roosevelta stawiali jego sprzymierzeńcy nie dawał się pokonywać przez instynkt niezawodny i wyczucie przeciwnika, tylokrotnie dające mu tryumfować w wewnętrznych przeciwnościach. Innych trzeba było tutaj metod do innej przystosowanych duszy. Roosevelt był napewno najbardziej europejskim z Amerykanów. Ale to nie znaczyło wcale aby mógł zrozumieć Rosję.

A przytym jeśli wśród zarzutów stawianych mu przez jego wyborczych przeciwników, dziś w większości swej jakże zdających się błahemi, był przecież jeden słuszny — to był nim ów zarzut nieludzki, w niczem niezdolny umniejszyć jego zasług i jego wielkości — że tak po bohatersku tyle lat walcząc z kalectwem i chorobą i strudzony tak bardzo — świecąc wciąż blaskiem swego umysłu, u schyłku życia już nie był prezydent Roosevelt zdolny do walki.

I dlatego gdy dziś obejmujemy myślą całe jego życie i odnajdujemy w niem tak niezawodne znamiona wielkości — to nie fałszując jego znaczenia, a tylko ustalając właściwą wagę wzniesień się i nieuchronnych załamań, możemy powiedzieć, że testamentem Prezydenta, zostawionym jego następcy i całej Ameryce jest walka do końca o wolność ludzi i o wolność świata.

I my Polacy wznosząc się ponad zrozumiałą namiętność chcemy w tej chwili pamiętać przedewszystkiem ów ton pełen troski najgłębszej z jakim prezydent Roosevelt mówił o narzuconym mu ustępstwie w Jałcie i to, że ostatnim aktem zmarłego w sprawie polskiej była odmowa uznania samozwańców z Lublina.

Zwycięstwo, które dziś święcimy a w którem pieśń tryumfu miesza się z marszem żałobnym, wtedy dopiero będzie prawdziwe, wtedy dopiero pchnie świat na nowe drogi — jeśli Stany Zjednoczone zdawszy sobie sprawę ze swej siły z ogromu swych dokonań w tej wojnie, zbudują pokój świata na tych zasadach, w imię których prezydent Roosevelt powiódł je do wojny.

Wtedy dzieło życia Franklina Roosevelta dozna najwyższej o jakiej mógł marzyć nagrody: błogosławieństwa potomności.

JAN LECHOŃ

PRESIDENT ROOSEVELT

The death of President Roosevelt on the eve of Victory and of the American army's entry into Berlin, gives a truly Shakespearean touch to the great drama of history through which we are living. No man capable of sensing greatness, grasping historical perspective, measuring the distance between intention and destiny can be indifferent to the passing of this great man who, by dint of thought and will, did so much to further the immortal work now culminating in Victory!

The tragedy and pathos of President Roosevelt's death is enhanced by the exceptional destiny that fate decreed for him. Because of his sudden and untimely death, his unique life becomes an heroic legend to point the lesson that toil, suffering and disappointment are inseparable from all human endeavor.

No matter how deep and vital the differences of opinion in America and abroad on Franklin Delno Roosevelt's achievements for the United States and his role in world politics, their very vehemence betokens the unusual stature and spiritual strength of the figure that has departed from us not into the shade but into the light of history. No one doubts that President Roosevelt will live forever in the history of the United States and in that of the world, not only because in the most crucial hour he stood at the helm of the nation whose might decided the outcome of the greatest of world wars. No one can deny that the momentous decision reached by the United States in this war, was first and foremost his decision, and that it was he who made it the common will of the American people.

It is a truism to say that history is written by the human masses and by extraordinary persons. But at times the greatness, the genius of these individuals lay only in their ability to sense the will of the people and to follow it. Among such great interpreters of the will of the people were Louis XIVth and Queen Victoria.

What better evidence of the greatness of President Roosevelt is there than this: that always remaining within the scope of the law, always appealing to the will of the people, during the twelve years of his Presidency, he wrought his will, his thought, his conception of the common good, and that in this most democratic of countries he never failed to win the consent of the masses and often aroused their enthusiasm for his will.

In a country where the commonplace and the average is the ideal, where the opinion of the majority is always right, where the best taste is that of the common man, Franklin Delano Roosevelt remained in power longer than any of his predecessors, ruled more independently than any other President, and won the love of all the people. All this because he was different, because relying upon democracy and serving it successfully he was the anthithesis of the average and the commonplace, because he impressed the people as being different and above the common man.

The love that the common man — especially the poor and the underprivileged — gave to President Roosevelt was born of gratitude for the way he defended the interest of the masses in directing the internal policy of America from the day, thirteen years ago, when by unprecedented and almost revolutionary methods he mastered the crisis that was bringing ruin to the wealthy, but above all starvation to the poor.

The poor and underprivileged, too weak to make their way in the young and hard American life, with its adoration for strength and success, found something more than relief and financial succor in the Roosevelt reforms, they found what was more important: hope and comfort. They had a mystic feeling that they were no longer alone and helpless, that someone was thinking about them, someone who radiated a force more potent than strength, more important than success.

No political misgivings, no arguments however sound, no errors of Roosevelt's administration, ever lessened in the hearts of the underprivileged masses their instinctive faith in his greatness, their gratitude for what he had done for the common people. All political polls and election forecasts, no matter how mathemtically perfect, were smashed to pieces by this emotional gratitude and beautiiful legend

That this defense of the poor and underprivileged was not dictated by his own reminiscences nor by his own experience; that he understood misery without ever having tasted of it; that he was a true democrat although born to the purple, added to popular gratitude an imponderable element, a fairy mysticism, something like the naive feeling the English have for their sovereigns.

Despite the manifest differences, Franklin Delno Roosevelt ressembled the creators of Polish democracy who likewise were scions of wealthy families. His accessibility excluded familiarity, it had a trace of royal condescension. Masses, thirst for legend asthey hunger for bread, appreciate these gestures and this attitude.

While moving consciously and consistently, with the mastery of a great tactician in internal politics, towards America's participation in the war against the Germans, Roosevelt acted in the name of the same idealism that had dictated his internal reforms. Neither economic conflict nor imperial interest inspired Roosevelt's genius of persuasion, his undaunted will, his incomparable knowledge of the American people, to prepare them for the decision so dramatically hastened by the Japanese attack on Pearl Harbor. It was the ideological abyss between American freedom and Nazi bondage.

Attacked by Japan and Germany, President Roosevelt in three years created the most powerful army, airforce, navy and war industry in history, achieved the immortal feat of invading two continents, liberated half of Europe from the direst oppression. In doing so he was guided by his love of humanity, by the same high ideals served by Washington, Lincoln, Wilson.

Who can doubt today, a few hours before American troops enter Berlin, that President Franklin Delano Roosevelt will live in history as one of the greatest conquerors of all times, the man who crushed the godless power that had risen to challenge all things human and divine.

We realize that this work undertaken with true American straightforwardness and ruthless idealism has been warped in contact and compromise with forces over which President Roosevelt— so independent in his internal policy — had no power. To these morces he made great, although probably only tactical concessions after a dramatic struggle the full details of which are as yet unknown to the public.

The resistance his allies opposed to Roosevelt's ideals, could not be overcome by the infallible instinct and knowledge of his opponent that so often had led him to triumph in internal difficulties. Here other methods were needed, suited to another kind of mentality. Roosevelt was no doubt the most European of all Americans, but this did not help him fully to understand Russia.

Among the arguments levelled against the President by his opponents, arguments which now seem so insignificant, was the inhuman charge that could only enhance his fame, that after so many years of heroic fight against his physical disability, he no longer had the strength to continue fighting. No one said he did not have the spirit.

In trying to embrace the whole of his life, one is impressed by its unmistakable grandeur. And if we add that Roosevelts true legacy to his succesor and to all American people was the command to fight to the end for the freedom of man and of the peoples, we shall have emphasized that which was most importnt in his lifes work.

Rising above understandable passion, what Poles want to remember above all at this moment is the voice full of deep concern in which Roosevelt spoke of the concessions he had had to make at Yalta, and that his last act in the Polish matter was to refuse recognition to the Lublin impostors.

The victory we celebrate today — the paean of triumph mingling with the funeral dirge — will be genuine only if it places the world on a new road, if the United States in the realization of its strength and its stupendous war effort will build peace on those same principles in defence of which President Roosevelt led it into war and gave his own life.

Then only then will President Roosevelt's work gain the highest reward to which man can aspire: the blessing of posterity.

JAN LECHOŃ



Chłopczyk holenderski w Bredzie z orzełkiem polskim na czapce.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 80 cents
Half yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

"Na wielkie mocarstwa spada
obowiązek służenia ludzkości
nie zaś rządzenia światem"

Prezydent Harry Truman

*(pierwsza mowa w Kongresie
16 kwietnia, 1945)*

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

UROCZYSTOŚCI POLSKIE W RZYMIE

(Dla "Tygodnika Polskiego" z Rzymu)

Polaków w Rzymie nie widuje się naogół zbyt dużo. W wielkiej masie żołnierzy Armji Sprzymierzonych, stanowiących dzisiaj zasadnicze tło pryncypalnych ulic Rzymu, zrzadka tylko mignie polski orzełek na berecie. Polacy są gdzieindziej. Od roku przeszło nie było poważniejszej operacji na froncie włoskim, w której by nie było Polaków. I tylko w rzadkich chwilach zastoju w działaniach bojowych lub wyprowadzenia Polskiego Korpusu z akcji, można spotkać w Rzymie wycieczki polskie.

Ale przed paru dniami znów pokazały się polskie mundury na ulicach Rzymu. 18-go marca odbyło się tutaj poświęcenie i uroczyste przekazanie 2mu Korpusowi 6-ciu kantyn ruchomych, ofiarowanych Wojsku Polskiemu przez Amerykańską organizację War Relief Services National Catholic Welfare Conference.

Poświęcenia dokonał J. E. ks. arcybiskup Cortesi, Nuncjusz papieski, poczem Biskup Polowy Wojsk Polskich, ks. J. Gawlina wygłosił przemówienie, dziękując ofiarodawcom za ich wspaniały dar.

Bowiem kantyny ruchome — sześć olbrzymich samochodów skonstruowanych według najnowocześniejszych projektów amerykańskich i wyposażonych we wszelkie udogodnienia dla pracy w terenie — będą wielką pomocą w pracy Kompanji Kantyn Polowych i umożliwią naszym kantyniarkom szybkie i sprawne obsługiwanie rozrzuconych w terenie oddziałów.

Wozy-kantyny noszą nazwy sześciu polskich miast: Warszawa, Wilno, Lwów, Poznań, Kraków i Gdynia.



Polsko-żydowska uroczystość żałobna w synagodze rzymskiej

Po poświęceniu dyrektor polskiego działu War Relief Services ks. Alojzy Wycisło wręczył klucze od wozów przedstawicielowi Dowódcy 2go Korpusu, który w wygłoszonem przemówieniu posił księdza delegata o przekazanie do Ameryki tej specjalnej mi łości i wdzięczności, jaką żywią żołnierze Korpusu dla Polonji Amerykańskiej za jej mocne i nieustępliwe stanowisko w sprawach Polski.

Następnego dnia, 19go marca, jako w rocznicę wybuchu powstania Żydów w Warszawie przeciw niemieckiemu okupantowi odbyło się w synagodze rzymskiej nabożeństwo na intencję zabitych powstańców i za pomyślny powrót żołnierzy polskich do wolnej i niepodległej Polski.

Nabożeństwo celebrował polski rabin wojskowy mjr. Ruebner w asyście rabinów wojskowych armij Sprzymierzonych.

Przemawiali: rabin amerykański kpt. Hochman ,angielski kpt. Aescoli i polski kpt. Rozengarten, który biorąc za temat opowiadanie biblijne o śmierci Absalona zbuntowanego przeciwko władzy swego ojca, wygłosił kazanie o tem, że taki los musi spotkać wszystkich uzurpatorów, występujących przeciw legalnej i prawowitej władzy.

Nabożeństwo zostało zakończone odśpiewaniem "Boże coś Polskę".

STANISŁAW STROŃSKI

Pierwsze pół godziny w San Francisco

(Dla "Tygodnika Polskiego" z Londynu)

W San Francisco, 25 kwietnia 1945, zbiorą się przedstawiciele 44 Narodów Zednoczonych i zasiądą do narad. Rozejrzą się między sobą, a co spojrzenie to przypomnienie. Będą mieli przed oczyma jakby dzieje tej wojny.

Aha, wojna zaczęła się 1 września 1939. Polska pierwsza przeciwstawiła się zbrojnie napadowi Niemiec na swej granicy 3 tys. km. Gdzie tu Polska? Niema Polski. A no, trudno, zgubił się początek wojny. Idźmy dalej.

Dnia 17 września 1939 na Polskę, napadniętą od zachodu przez Niemcy napadła od wschodu Rosja, na granicy 1½ tys. km., w porozumieniu z Niemcami zawartem 23 sierpnia 1939. Polski, napadniętej, tu niema, ale jest Rosja, napastniczka. W porządku, już się jakoś odnajdujemy i możemy snuć wątek dalej.

Polska walczy przez miesiąc. Warszawa 28 września 1939, Modlin 30 września 1939, Hel 2 października 1939, Kock 5 października 1939. Dopiero po uderzeniu Niemiec na Holandję, Belgję i Francję w maju 1940 i błyskawicznych postępach Niemców zrozumiano w świecie co znaczył opór Polski w ciągu miesiąca, tak cennego dla przygotowania się Państw Zachodnich. Ale przedstawiciele tej Polski, która walczyła jazdą przeciw tankom oraz 250 samolotami przeciw 5,000 niemieckim, niema w San Francisco.

Dnia 30 września 1939, w dwa dni po rozbiorze Polski, dokonanym przez Niemcy i Rosję i podpisanym 28 września 1939 przez von Ribbentropa (niema go tutaj) i Mołotowa (jest tutaj, a jakże!) powstaje w Paryżu najściślej konstytucyjnie, z pełną ciągłością prawną, powołany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Pol. Raczkiewicza, Rząd Polski pod przewodnictwem Jen. Sikorskiego. Jest to pierwszy Rząd w tej wojnie, który, mimo zajęcia kraju przez wroga, przystępuje do dalszej walki zagranicą, stwarzając tem wzór dla innych krajów Europy. Przez góry, lasy i morza, młodzież polska przedziera się z Kraju i spieszy z wychodźtwa pod sztandar polski we Francji. W pół roku wojsko polskie we Francji dosięga 100 tys. żołnierza; kilka okrętów plskich wydostało się, cudem, z Bałtyku do Wielkiej Brytanji; rosną skrzydła lotnictwu polskiemu. Umowy Rządu Polskiego z Rządami Francji, Wielkiej Brytanji, a później i St. Zj. Ameryki ustalają podstawy Polskich Sił Zbrojnych, które są i pozostają najliczniejszym zastępem z lądu Europy, a to nowe zjawisko budzi podziw świata. Lecz w San Francisco przedstawicieli ich niema.

A potem 5 lat walki dalszej Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie. Tak, 5 lat równo—przypominają sobie uczestnicy narady — bo 25 kwietnia 1940 Polska Brygada Podhalańska odpływała z Brest do Narwiku. A oto dzisiaj, 25 kwietnia 1945, jesteśmy w San Francisco. Ich tylko, Polaków, niema.

Byli we Francji, w maju i w czerwcu 1940, na linii Maginot i nad Marną.

Byli w Wielkiej Brytanji gdy osamotniona walczyła ona o swój byt. W bitwie nad Londynem i nad Kanałem od sierpnia do października 1940 lotnicy polscy zestrzelili 220 samolotów niemieckich a do końca r. 1944 liczba ta doszła, w walkach powietrznych już i poza W. Brytanję, do 711 napewno strąconych, 173 uszkodzonych, 229 prawdopodobnie strąconych. Żołnierze polscy, od lata 1940 do wiosny 1941, gdy groziła inwazja, stali obok Brytyjczyków na straży w Szkocji.

Byli w Afryce Północnej, w roku 1941, w ciężkim okresie, w Tobruku.

Byli w lotach nad Europą i do końca roku 1944 zrzucili 26 milj. 159 tys. 847 fnt. angielskich bomb.

Byli na morzach i to w dobrych miejscach, jak Piorun na tropie Bismarcka, tak iż Pierwszy Lord Admiralicji w r. 1944, powiedział że ilość działań, w których nieliczna marynarka polska wojenna brał udział, jest nic do uwierzenia.

Byli od r. 1943 we Włoszech, na szczycie Monte Cassino, i na linii Gotów.

Byli znowu we Francji, w r. 1944, w Normandji pod Falaise. Byli w Belgji pod Ypres i w Gandawie. Byli w Holandji pod Bredą i pod Arnhelm.

Byli od końca r. 1939 przez 5 lat w walce przeciw Niemcom w Polsce. W jedynym kraju bez Quislinga,, który stracił w tej walce 5 miljonów ludności. W pierwszym w Europie i najpotężniejszym ruchu podziemnym, który m. in. dokonał od r. 1941 do 1944 nie mniej niż 7000 zamachów na pociągi, w których z powodzeniem zniszczono lub uszkodzono lokomotywy, a w r. 1944 przez dwa miesiące walczył przeciw Niemcom w Warszawie.

Byli, wszędzie byli, lecz niema ich w San Francisco.

Przedstawiciele 44 Narodów Zjednoczonych spoglądają dokoła. Niema 45-go. I oto powoli na jednem obliczu' na drugiem, na dziesięciu, na 40 zaproszonych przez zapraszających, wykwita rumieniec wstydu za kogoś.

* * *

...Pełno też żebraków roiło się koło straganów z żywnością. Pierwszym jednak przedmiotem, jaki zwrócił uwagę dzieci, była głowa ludzka, zatknięta na wysokim bambusie, wkopanym w środku rynku. Twarz tej głowy była wyschnięta i prawie czarna, natomiast włosy na czaszce i brodzie białe, jak mleko. Jeden z żołnierzy objaśnił Idrysa, że to jest głowa Gordona. Stasia, gdy to usłyszał, ogarnął niezgłębiony żal, oburzenie i paląca chęć zemsty, a zarazem przestrach zmroził mu krew w żyłach. Tak więc skończył ów bohater, ów rycerz bez skazy i bojaźni, człowiek przytem sprawiedliwy i dobry, kochany nawet w Sudanie. I Anglicy nie przyszli mu na czas z pomocą, a potem cofnęli się, pozostawiając jego zwłoki bez chrześcijańskiego pogrzebu, na pohańbienie! Staś stracił w tej chwili wiarę w Anglików. Dotychczas mniemał naiwnie, że Anglja za najmniejszą krzywdę, wyrządzoną jednemu z jej obywateli, gotowa jest zawsze do wojny z całym światem. Na dnie duszy taiła mu się nadzieja, że i w obronie córki Rawlisona ruszą po nieudanej pogoni, groźne zastępy angielskie, choćby do Chartumu i dalej. Teraz przekonał się, że Chartum i cały kraj jest w ręku Mahdiego i że rząd egipski również, jak i Anglja myślą raczej o tem, jakby obronić Egipt przed dalszemi zaborami, nie zaś o wydobyciu z niewoli jeńców europejskich...

"W PUSTYNI I PUSZCZY"
HENRYK SIENKIEWICZ

MARJA WERTEN

NAJWAŻNIEJSZE ZADANIE

Bezprzykładne powodzenie propagandy sowieckiej zmusza do zastanowienia się, i nietylko nas Polaków. W tragedji, którą przeżywa dzisiaj Polska i inne mniejsze narody, propaganda ta odegrała tak poważną rolę, tyle zbrodni zostało dokonanych nietylko bez protestu, ale z aprobatą opinji Anglji i Ameryki, a wbrew ich właściwej postawie, że pewne doniosłe zagadnienia, które nie były należycie docenione — stają wyraźnie przed naszemi oczami.

Stalin, rozbudowawszy genialnie tak olbrzymią maszynę propagandową dla bałamucenia opinji amerykańskiej i angielskiej — stwierdził tem samem, że opinja publiczna krajów demokratycznych jest siłą, z którą nawet on się liczy; że w stosunkach międzynarodowych obok siły militarnej i dyplomatycznej siła tej opinji gra swoją rolę. Jednocześnie narzuca się dręczące pytanie, czy nawet w krajach demokratycznych opinja ta jest naprawdę wolna?

Wolność opinji to nie jest tylko wolność jej wypowiedzenia. Stanowisko człowieka w każdym poszczególnym wypadku tylko wtedy jest odbiciem jego poglądów, jeżeli, trzymając się wiernie swych przekonań, konkluzję swą opiera na konkretnych faktach. Stanowisko człowieka źle poinformowanego, choćby był wierny swym przekonaniom — nie jest jego prawdziwą opinją. Niema wolności opinji, gdzie nie ma możności otrzymania autentycznych informacji. "Informed public opinon is the strength of a democracy" powiedział kapitan Craig. Czy to jest prawda? Wszystko, czego jesteśmy świadkami przeczy temu twierdzeniu. Okazało się, że obca propaganda, rozporządzająca odpowiedniemi środkami, oparta na znajomości psychologji ludzkiej i na aktualnych popularnych słabych jej stronach, wykorzystująca umiejętnie konjunktury — może zrobić z opinią publiczną, co tylko zechce: białe wprowadzić jako czarne i czarne jako białe.

Znaną jest bajka Andersena, w której dwaj oszuści obiecują królowi, że zrobią mu cudowną szatę, ale niewidoczną dla głupich. Nikt nie śmie się przyznać, że nie widzi wspaniałych wzorów, rzekomo tkanych przez oszustów. Na paradzie król kroczy nagi a tłumy wznoszą okrzyki zachwytu nad wspaniałością nieistniejącej szaty, do której piękności i magicznych własnościach byli zawczasu odpowiednio przygotowani. Dopiero okrzyk dzicka: "król jest nagi" przerywa tę hypnozę tłumów.

Andersen pierwszy przed Hitlerem i Stalinem, zrozumiał siłę i znaczenie propagandy. Zachwyty Ameryki i Anglji nad nieistniejącemi wartościami i zasługami Sowietów, zaufanie do nich — odegrały poważną rolę w rozrastaniu się siły Stalina. Tylko domyślać się dzisiaj możemy jakie przybrała ona rozmiary. Ci którzy widzą niebezpieczeństwo jakie przyniosła ona Polsce dzisiaj i przynosi przyszłości świata, muszą się zastanowić nad drogami tej propagandy i możliwościami jej zwalczania.

* * *

Każden atak może liczyć na powodzenie jeżeli nie spotyka się z obroną. Świetnie zorganizwany atak kłamtsw musi mieć powodzenie, jeżeli nie istnieje obrona prawdy. Ale broni się tylko ten, kto wie, widzi, że jest atakowany. Widocznym jest atak noża, — niewidoczną pocichu, podstępnie i systematycznie wsypywana trucizna.

Opinja angielska i amerykańska w olbrzymiej większości nie broniła się, bo nie wiedziała, że jest atakowana. Z pośród tych, którzy widzieli, byli tacy, którzy uważali, że w istniejącej sytuacji było koniecznością te kłamstwa do pewnego stopnia tolerować. Inni którzy chcieli bronić prawdy w większości wypadków byli unieszkodliwiani przz wytrącanie im broni z ręki umiejętnie dobranemi hasłami. Propaganda Hitlera atakowała pod tarczą hasła "warmonger". Każden kto mówił prawdę o Hitlerze i naziźmie — był okrzyczony jako "warmonger".

Słownik Stalina, dzięki tak sprzyjającej konjunkturze, jest bardzo bogaty. Terminy: faszysta, kolaboracjonista, anty-demokrata, podkopywacz jedności aljantów — zamknęły usta wielu, którzy próbowali krytykować Sowiety, ostrzegać, przypominać zapomniane fakty.

Wreszcie ostatnia znikomo mała grupa tych, którzy byli i są zdecydowani walczyć nie zorganizowała swej walki. W nierównych zmaganiach słabszego przeciw silniejszemu — brak organizacji — przeciw zorganizowanej sile — pomniejszał jeszcze dotkliwie szanse jej wpływów.

Dzisiaj ci, którzy widzą całą grozę położenia, konieczność działania i to działania natychmiastowego i jaknajbardziej celowego — mają gigantyczne zadanie przed sobą. Dzisiaj obrona prawdy już nie wystarcza, dzisiaj prawda musi atakować, i — badając broń przeciwnika — kuć broń odpowiedniej jakości i siły.

Każden z nas jest w tej walce żołnierzem, który inne prace musi skierować frontem do tej walki; każden musi zrewidować podział swych sił i możliwości, by jaknajwięcej tej walce poświęcić, — **ale we właściwy i celowy sposób.**

Nie możemy zaniechać popagandy kultury i sztuki — lecz zdawać sobie musimy sprawę, jaką rolę **dzisiaj** grać ona może; Gdy dom płonie budowanie studni nie ratuje od niszczycielskiej siły ognia, który nie zwraca swych ofiar. Musimy się starać, by gdzietylko to możliwe propagandę kultury i sztuki jaknajbardziej bezpośrednio łączyć i wykorzystać dla mówienia tego, co się dzieje dzisiaj w Polsce, co grozi uniemożliwieniem rozwoju tego wszystkiego co było dokonane.

Nie możemy też zaniedbać naszej pracy zawodowej. Nasz głos tem większy ma posłuch, tem większą wagę, im bardziej cenieni jesteśmy jako zawodowcy, im poważniejszy Ameryka widzi w naszej pracy zawodowej wkład do jej życia kulturalnego. Pomimo najsilniejszego głosu serca — trzeba zachować właściwy umiar między pracą dla Polski, a taką pracą dla Ameryki, która nasze wołanie o ratunek dla Polski umożliwia i siłę naszego głosu potęguje.

Musimy zdawać sobie sprawę, że walcząc o opinję publiczną, która przeważnie milczy wobec naszych krzywd, lub je nawet popiera — walczymy z różnorodnemi przyczynami tego obojętnego lub wrogiego nastawienia, nie mówiąc o zdecydowanych stronnikach Sowietów. Że jednym trzeba otwierać oczy; trzeba umiejętnie pokazywać jak i dlaczego prawda była atakowana, jak została beznadziejnie rozgromiona; trzeba odwoływać się nietylko do poczucia sprawiedliwości, ale czasem jeszcze silniej do zrozumienia własnego interesu. Innych odhipnotyzować trzeba od sugestywnej siły "sloganów", które, jak linja koła nakreślonego przed kurą — odbierają swobodę myśli i woli. Że musimy także szukać kontaktów z temi Amerykanami, którzy chcą walczyć i walczą; próbować wspólnie tę walkę **zorganizować.**

* * *

Zadania nasze są trudne i skomplikowane a odpowiedzialność ogromna, dlatego starać się musimy, by wszystkie nasze siły były maksymalnie wykorzystane. Musimy zorjentować się, jak takie maksymalne wykorzystanie osiągnąć.

Czy jest pożądanem i możliwem zorganizowanie centrów, gdzieby współpraca naszych sił, pomysłów i możliwości dała więcej niż suma tego, co każden z nas pojedyńczo, własnemi siłami w swoim zasięgu dokonać może? Niezależnie od P.I.C., którego dotychczasowa, choć tak ważna i konieczna działalność, jest jednakże tylko częścią wszystkich możliwości.

Ujmowanie aktualnych zagadnień przez poszczególne jednostki — jak rezultat każdej indywidualnej pracy umysłowej — zawsze do pewnego stopnia jest rezultatem współpracy wielu, których ujawnione pomysły powoli w naturalny sposób wzajemnie się przenikają, zapładniają — umożliwiając sprecyzowanie i doskonalenie się pewnej idei i związanej z nią akcji. Czy w takich przełomowych chwilach, wobec groźby unicestwienia nas, gdy każden dzień, każda godzina tę groźbę powiększa — nie moglibyśmy takiej współpracy świadomie zorganizować, by jaknajmocniej wykorzystać i spotęgować wszystkie nasze siły, pomagać jeden drugiemu, w walce o prawdę, o nasze prawo do życia, o zdobycie dla tej walki opinji publicznej: naszej ostatniej, jedynej deski ratunku.

W naszych wysiłkach mamy dwa zadania: wynajdywać jaknajlepsze drogi, któremi możemy sięgać do amerykańskiej opinji: to jest starać się zbudować jaknajlepsze ramy dla naszej walki i drugie, wypełnienie tych ram właściwą treścią. Samo mówienie prawdy nie zawsze wystarcza, nie zawsze jest możliwe.

Możliwą jest walka samą prawdą, — gdy cała prawda może być zamknięta w artykule, w odczycie, z łatwemi do sprawdzenia dowodami. Żeby Anglik czy Amerykanin zdawał sobie tak jak my sprawę z całej potworności tego, co się dzieje, żeby zrozumiał do jakiej zbrodni przykłada rękę, nie protestując, by zrozumiał, jak to, co się dzieje związane jest z jego własną, czy z jego dzieci przyszłością — musiałby widzieć to wszystko, co my wiemy: historję Polski i Rosji, naszych z Rosją stosunków, wszystkie Sowietów zbrodnie wewnątrz i zewnątrz dokonane, wtedy dopiero ujrzałby potworny kontrast między prawdą a zakłamaniem świata. Jak rzadko, jak mało szanse mamy ,by szerokiej publiczności podać takie ilości prawdy. Nie możemy pod jakąś narkozą dać im transfuzji tej ogromnej sumy prawdy, która jest konieczna do zrozumienia wpełni dzisiejszej sytuacji i tragicznych horoskopów na przyszłość. Musimy zdawać sobie sprawę, gdzie, do jakiego stopnia i jaką selekcją prawdy walczyć możemy i musimy w każdym poszczególnym wypadku — ale jednocześnie szukać jeszcze innej pomocnej broni. Musimy zdawać sobie sprawę, że nietylko sama prawda przekonywa, — ale jej ujęcie, oświetlenie, punkt widzenia, dobrze obmyślony chwyt psychologiczny. Jeżeli można taką bronią wprowadzać kłamstwa — można tembardziej spopularyzować nią prawdę.

Czasem mocne, krótkie powiedzenie, porównanie umiejętne oświetlenie sytuacji — robi większe wrażenie, bardziej przekonywa niż długie cytaty prawdy, do której często trzeba dopiero ludzi zachęcić, właściwie uspokoić, by jej wysłuchali, w nią uwierzyli, by ją zasymilowali! **Od właściwego tonu, formy, właściwej drogi, odwoływania się do opinji publicznej zależy często, czy się ją zdobywa, czy traci.**

Czy jest możliwe wspólnemi siłami, dla wspólnego użytku, budować wspólną skarbnicę pomysłów i materjałów i wspólnie wynajdować najlepsze drogi ich użycia? By zniszczyć potęgę, mirażu, który obezwładnił miljony wolnych ludzi, czyniąc ich pomimo ich woli wspólnikami najstraszniejszej zbrodni ludzkości?



Claire Booth-Luce wśród polskich żołnierek we Włoszech

MARJA KUNCEWICZOWA

TOPOLSKI

Pewnego grudniowego popołudnia w Warszawie, a było to przynajmniej dwanaście lat temu, zjawili się w mieszkaniu na Placu Trzech Krzyży młodzi ludzie z imieninowemi darami. Nierówni wzrostem i tuszą, wszyscy mieli znakomity humor i ten sam fach: malarstwo. Wszyscy również trzymali w ręku doniczki, które symbolizować miały jakoby ich losy, czy też duchowe skłonności. Aleksander Żyw, już wówczas zażywny i przebojowy, wręczył mi okrągły kaktus najeżony kolcami; seraficki Eljasz Kanarek — jakąś wątłą i długą roślinkę. Ale Feluś wyłonił z bibułek kęp czterolistnej koniczyny.

To zdarzenie niemal egzotyczne w swojej odległej beztrosce przypomniało mi się kilka dni temu, przy zwiedzaniu wystawy Feliksa Topolskiego w Londynie. Istotnie, cechą losu, albo może charakteru tego artysty jest szczęście. Gdziekolwiek pojedzie, gdzie zmieszka, czego się tknie, szczęście wiernie mu towarzyszy. Nic tu wszakże nie pomogą odstukiwania, ani nie zaszkodzą: szczęście Topolskiego nie jest z gatunku płochliwych, niedorzecznych elfów; jest to pomyślny bieg dwóch również wielkich talentów: talentu do plastyki i talentu do pracy. Topolski jest żywiołowym artystą i żywiołowym pracownikiem. Rysunki sypią się z niego, jak liście z drzewa i tak samo, jak drzewo, aby móc się stale odradzać, ten rysownik nieustannie trudzi się czerpaniem żywotnych soków z gleby, w której wypadło mu rosnąć. Metafora kulawa; bo drzewa są synonimem stałości, a Topolski — wbrew swojej wadze — nosi się po całym świecie, notując. Sceny uliczne i domowe, grane przez ludzi wszystkich ras, wiar i profesji, w okolicznościach zarówno pokoju jak wojny, stanowią film tej nieustannej twórczości. Na to, żeby film mógł być tak czuły, a zarazem pełen groteskowego tragizmu, jego autor musiał posiąść nietylko wszystkie sposoby swojej sztuki, ale i wiedzę o życiu. Pasja poznania prześwietla patosem rysunki Topolskiego. Praca jego nie ogranicza się do postępów technicznych, polega w równej mierze na koncypowaniu dramatu historycznego, obyczajowego, filozoficznego. Takie podwójne zadanie uważane bywa za misję wielkich artystów. Takie podwójne zadanie narzucone zostało Topolskiemu przez jego naturę. Przyjął je i wypełnia z niezawodnem szczęściem.

Co nadewszystko uderzyło mnie na wystawie, to iście klasyczny dar budowania typu z elementów psychicznych i plastycznych jak najdalszych od klasycyzmu. W różnogatunkowym tłumie, który przewala się przez kartony Feliksa, figury reprezentacyjne narodów, klas społecznych, odrębnych kultur i klimatów występują z jednoznacznością oszałamiającą. Nie tylko również zawodowcami oczywistych profesji, reklamowanymi niejako członkami klanu robotników, intelektualistów, czy chłopów albo też niebieskimi ptakami w mundurach różnych wojsk, w szatach różnych stref świata. Rysy zaś i gesty owych "reprezentantów" są odmienne od konwencji, a



BERNARD SHAW

Malował F. Topolski

trzeba podpisów ani komentarzy: Polak, Żyd, Arab, Brytyjczyk, Włoszka od pierwszego spojrzenia przemawiają własnym językiem w tej międzynarodowej wieży Babel, którą rysownik zamierzył odcyfrywać. A jednocześnie ogarnia widza zdziwienie, że ów Polak, Włoch Amerykanin — tak wyraźni, tak niewątpliwi — są również raczej o tyle od niej wyrazistsze, o ile sztuka wyrazistsza jest od chaotycznego życia.

Na przykładzie twórczości Topolskiego widać jak bardzo humor potrzebny jest dla ogarnięcia tragizmu. Gdyby Topolski nie był tak wrażliwy na dysproporcję form, na bezradność wszelkiego ludzkiego porządku, na

niewspółmierność zamiarów z osiągnięciami, jego dzieło nie byłoby tak przepojone miłosierdziem, jak np. szkic londyński "stary żołnierz" i nie miałoby tej ostrożnej miękkości, z jaką zostali potraktowani mali arabowie w egipskiej scenie rodzinnej. Humor Topolskiego jest drapieżny w percepcji głodnych ciał, walczących o miejsce pod słońcem, ironiczny w apoteozie hieratycznego bezruchu innych ciał, nasyconych pychą i bogactwem. Ale humor ten ustępuje prawdzie bez uśmiechu gdziekolwiek sekret istnienia zahacza się o tajemnicę wieczności a rytm życia o bezwład śmierci. Piramidy pod pełnią księżyca, oblepione rozpasanem żołnierstwem, chłopi chińscy, wracający z pól, czytelnicy Koranu w meczecie damasceńskim, wsiowa rodzina polska, rzucona przez wojnę między czarną magję Afryki, nieludzka głowa pół trupa, wychylająca się z otworu kanalizacyjnego Warszawy w czasie walk ulicznych, kobieta ciężarna, której twarz skąpana w nieziemskiem świetle nocy, wydae sę nie wiedzieć o sprawach rozsadzających monstrualne łono, spotkanie Araba z Żydem na dramatycznej szosie palestyńskiej — w interpretacji Topolskiego tematy te przerastają humor, jak Apokalipsa przerasta bajki Ezopa.

Na wystawie jest siedemnaście olejnych malowideł. Jestem widzem a nie krytykiem, nic zatym nie mogę powiedzieć fachowego o technice malarskiej Feliksa. Nie zdaje mi się by farba służyła mu równie ulegle jak kreska, rezultat prawdopodobnie nierównego treningu. Czy obrazy te wyrażają więcej, niż rysunki? W każdym razie wyrażają niezmiernie wiele, skoro są między niemi owi uchodźcy polscy w Afryce, powstaniec warszawski i przyszła rodzicielka. Gama kolorów Topolskiego wygląda jaskrawie, a jednak epizod palestyński, mimo posępną treść, jest zwiewny, poetyczny jak obłok. Najbardziej podobały mi się portrety: Shaw'a i Wells'a, dwóch demiurgów współczesnego piśmiennictwa — pirwszy triumfalny w demonicznej "Schadenfreude", drugi żałosny w poczuciu klęski utopijnych roszczeń.

Rozmawiałam niedawno o Topolskim z córką sławnego angielskiego aktora Du Maurier, malarką podobnie jak jej dziad, skądinąd autor "Trilby." Powiedziała mi: "no dobrze, ale czyż Topolski mógł się podobać w Polsce? Czyż nie był dla Polski za... za.... oryginalny?" To ostatnie słowo najwyraźniej przez grzeczność zastąpiło inne słowo: "za.... dobry." — "Bardzo się podobał. Miał szczęście od początku" — odpowiedziałam i wspomnienia odżyły masami. Nie podzieliłam się niemi z Jeanne Du Maurier, bo przez pięć lat pobytu zagranicą znużyło mnie dowodzenie cudzoziemcom, że różne rzeczy nie były i nie są na Polskę "za dobre." Natomiast teraz z satysfakcją myślę sobie o tym, jak to Feluś (felix znaczy — szczęśliwy) był cudownem dzieckiem Waszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, oczkiem w głowie "Prusza" — bohemiańskiego rektora tejże Akademii, bóstwem koleżanek, asem wystw młodzieńczych, dekoratorem najmłodszych kawiarń. Wszystko to nie pomimo, ale właśnie dla swojej.. oryginalności.

Nie był Topolski i nie jest dla Polski za dobry ,ale i Polska była dla niego w sam raz. Nie gdziendziej, tylko nad Wisłą, nauczył się patrzec dokoła rozumiejącym wzrokiem, przerażać się dysproporcją zadań i sił człowieka, w rozbestwionych ciałach dostrzegać cierpliwy płomyk niecielesnej ochoty. Polskie szkoły, dziewczyny i rzeki kształciły go w kunszcie, ktorym zadziwia świat.

W t.zw. propagandze polskiej (przyko mi że zamięszałam tu ten uprzykrzony wyraz) miejsce Feliksa Topolskiego jest wielkie na przestrzeni nietylko lat wojny, lecz wogóle wszystkich lat obiegu polskich wartości kulturalnych zagranicą. Niech mi wolno będzie popełnić jeszcze jedną niedysrrcję i na zakończenie przytoczyć zdanie pewnej Francuzki, pani bardzo wytrawnej i bardzo pełnej podziwu dla Anglików: "Topolski?— zamyśliła się — Teraz o nim piszą, że najlepszy rysownik między tymi co pracują w Anglii... Jeszcze pięć lat i zdanie się skurczy: napiszą: "najlepszy rysownik brytyjski". Oni wiedzą kogo adoptować — pokiwała głowa z uznaniem — Któż dziś pamięta, że Sibelius był Finem?"

Ale Topolski nie zapomni Warszawy i Kazimierza. Łatwiej jest zapomnieć o sobie, niż o miejscach, gdzie szczęście odsłoniło się młodemu sercu.

KONCERT NAD KONCERTAMI

W przyszły wtorek 24-go kwietnia o 8:30 wieczór odbędzie się w Town Hall nowojorskim naprawdę koncert nad koncertami: Wanda Landowska grać będzie starą muzykę polską na klawecynie i wraz z zespołem przez siebie specjalnie zorganizowanym. Starą muzykę siedemnastego i osiemnastego wieku a pozatem pieśni ludowe przez nią samą instrumentowane. Wanda Landowska jakże nieliczna wśród wielkich muzyków — nie gra nigdy niczego, co nie jest jako natchnienie czy sztuka najprawdziwsze i najczystsze. Ktokolwiek w Paryżu, Nowym Yorku czy Londynie szedł na jej koncert wiedział zawsze że usłyszy najświetniejszą muzykę, że Wanda Landowska niczem nie będzie starała się go zjednać ale że mu otworzy świat lepszy, w którym jest jak u siebie w domu. To piękno czyste i doskonałe— odnaleźć potrafi Wanda nietylko w arcydziełach mistrzów ale i w prostych tonach ludowych i w zapomnianych rytmach tanecznych. Nigdy przecież — to co gra, nie jest ciekawostką, zabytkiem starego stylu zawsze jest to muzyka prawdziwa, żywa budząca zachwyt, pobudzająca do marzenia.

To co Wanda grać będzie w przyszły wtorek — będzie rewelacją dla cudzoziemców, ale również i dla nas samych odkryciem. Odkryciem prostych czarów naszej pieśni, odkryciem rytmów, z których urodziła się muzyka Chopina, a w których już ten sam duch polski był zaklęty. I sensacja nad sensacjami! Grać będzie też Wanda rzeczy Bacha, Mozarta i Couperina przez owe rytmy polskie natchnione na świadectwo, że muzyka polska nie urodziła się dopiero z Chopinem że na dwieście już lat przed nim mówiła pięknie i dumnie i marzycielsko o polskiej odrębności, o polskim uczestnictwie w kulturze świata.

Będzie to naprawdę koncert nad koncertami, wieczór prawdziwej sztuki, na który nietylko my wszyscy pójść powinniśmy, ale też na który prośmy naszych przyjaciół cudzoziemców, pewni, że będą nam z całego serca wdzięczni i że, nie nudząc się, ale wśród nieustannego zachwytu nauczą się pięknej prawdy o Polsce.

WACŁAW SOLSKI

ZEGARKI DLA WSZYSTKICH

Don Antonio, minister propagandy Gondrulji, wyczytał niedawno w gazecie, że w jakimś kraju pewien lotnik otzymał z rąk prezydenta złoty zegarek, w nagrodę za bohateskie wyczyny. "Cóż to za idjotyzm", rzekł z miejsca Don Antonio, nastawiony krytycznie do wszystkiego, co się dzieje zagranicą. "Na djabła bohaterskiemu lotnikowi zegarek? Byle dureń ma zegarek, a niektórzy nawet po kilka. Jeśli prezydent chciał w ten sposób wyróżnić lotnika, to trafił kulą w płot. Rzecz miałaby się jednak zupełnie inaczej, gdyby lotnik był jedynym człowiekiem, posiadającym zegarek. Wówczas — ale tylko wówczas — miałby się czem szczycić".

Pomysł ten Don-Antonio tak się spodobał, że postanowił natychmiast zakomunikować go dyktatorowi Gondrulji Gondrulasowi, proponując ogłoszenie dekretu, zabraniającego wszystkim obywatelom posiadanie zegarków.

Dyktator Gondrulas ziewnął i powiedział:

— Proszę bardzo. Ułóż pan dekret, to go podpiszę. Ale poco?

— Jakto poco? — zapytał Don Antonio. — Już chociażby dlatego, że wszelkie zakazy są zawsze bardzo pożyteczne. Słowo "zabraniam" mile dźwięczy dla ucha, świadcząc o czujności władzy. Czem więcej zakazów, tem lepiej. Jakby nie był zakazów, nie byłoby porządku, i każdy robiłby co mu się żywnie podoba.

— To racja — rzekł Gondrulas. — Porządek musi być. Napisz pan w dekrecie, że posiadanie zegarka, pod względem prawno-państwowym, ni czem się zasadniczo nie różni od posiadania bomby, i że za oba przestępstwa grozi wskutek tego taka sama kara. To uprości znacznie procedurę. Don Antonio, pana pomysł zaczyna mi się podobać.

— Spodoba się on Waszej Ekselencji jeszcze bardziej, gdy go rozwinę całkowicie, — rzekł Don Antonio, uśmiechając się trochę zarozumiale. — Dekret przewidywać będzie, że kilku dostojnikom państwowym, zasługującym na specjalne wyróżniene, Wasza Ekscelencja zezwolić może na noszenie zegarka w kieszeni kamizelki lub spodni, a nawet, w wypadkach wyjątkowego bohaterstwa, na ręku. Wywoła to zrozumiałą zazdrość i współzawodnictwo, co postaramy się wykorzystać dla dobra Gondrulij. Między mężami stanu rozpocznie się rywalizacja. Jednocześnie poeci ułożą piękne wierszyki, a inne jednostki zapragną wyróżnić się w dziedzinie malarstwa lub też muzyki podkreślając na każdym kroku, że wszystko co umieją i widzą zawdzięczają wyłącznie Waszej Ekselencji.

— Wspaniale! — rzekł Gondrulas, pocierając ręce z zadowolenia. Ale co zrobimy z zegarami na wieżach kościelnych? Jeśli skonfiskujemy zegarki prywatne obywatele Gondrulji tłoczyć się będą przed kościołami, żeby zobaczyć, która godzina. Wywoła to nieporządek, na co w żadnym razie zgodzić się nie mogę.

— Pomyślałem już o tem, — odpowiedział Don Antonio. Wszystkie zegary publiczne zastąpione zostaną przez portrety Waszej Ekselencji.

Gondrulas wstał i powiedział:

— Don Antonio, za specjalne zasługi dla dobra Gondrulji, zezwalam panu nosić dożywotnio zegarek z dewizką i monogramem!

* * *

Dekret ogłoszono tegoż wieczoru. Sprawa tego, która jest godzina, uznana została za tajemnicę państwową. Policja skonfiskowała wszystkie zegarki, poczem w środku miasta ustawiono armatę. Armata strzelała codziennie rano trzy razy. Pierwszy wystrzał oznaczał: "Wstawaj! Jazda z łóżka!". Drugi: "Czyść zęby i buty". Trzeci: "Leć do biura!"

A obywateli, którzy robili sobie z tego drwinki, osadzono oczywiście w więzieniu. Wpakowano również do więzienia kilku nachalnych osobników, usiłujących obejść prawo przy pomocy podstępu. Jeden z nich określał godzinę według gwiazd i słońca, sprzedając swe spostrzeżenia za drogie pieniądze. Inny posunął się tak daleko, że wymalował w swoim pokoju zieloną kreskę na podłodze, bezczelnie twierdząc, że cień, rzucany przez stojącą naprzeciw kamienicę, styka się z jego linją o piątej po południu. Wtrącono go wobec tego do wilgotnego lochu, gdzie nie było słońca, a gdzie niema słońca, tam niema i cieni, więc nieforturnny wynalazca mógł malować linje wyłącznie na własnym nosie.

Ukarawszy przykładnie wrogów Gondrulji, Gondrulas nie zapomniał również o bohaterach. Kilku generałów, ministrów i poetów otrzymało prawo noszenia zegarka na ręku lub w kieszeni, i prasa zamieściła natychmiast obszorne wywiady z temi wybitnemi jednostkami. I wszystko byłoby niewątpliwie w porządku, gdyby nie koleje żelazne.

Liczba katastrof kolejowych wzrosła w sposób przerażający. Gondrulas wezwał do siebie ministra komunikacji i postawił mu ultimatum: jeśli katastrof więcej nie będzie, minister otrzyma budzik z różowym cyferblatem, jeśli będą, minister zostanie rostrzelany. Minister, po namyśle, wyraził życzenie, aby go coprędzej rozstrzelano, bowiem jego zdaniem koleje nie mogą istnieć bez rozkładu jazdy, a rozkład jazdy bez zegara. Życzeniu ministra komunikacji stało się zadość, ale po jego rozstrzelaniu Gondrulas zwołał komisję międzyministerjalną, która doszła do wniosku, że minister komunikacji miał rację. I dekret o zegarkach trzeba było wobec tego odwołać.

Jednak Don Antonio zaraz wykręcił kota ogonem, wykazując raz jeszcze, że niema takiej sytuacji, której nie dałoby się wykorzystać dla dobra władzy. Kazał on wydrukować gazetom artykuły, stwierdzające niezbicie, że skasowanie dekretu jest niesłychaną reformą, krokiem bardzo postępowym, genjalnym posunięciem Gondrulasa, któremu ludność Gondrulji powinna być niesłychanie wdzięczna. Gazety wydrukowały artykuły, a w jednej z nich ukazał się feljeton takiej mniej więcej treści:

"Wczoraj w Gondrulji srzedawano zupełnie swobodnie wszelakiego rodzaju zegarki: z dewizkami lub bez, z kopertami i bez kopert, podłużne, owalne, okrągłe, i kwadratowe. — Sprzedawano je wszystkim dosłownie, nawet bez okazania paszportu ani świadectwa szczepienia ospy! Jeszcze kilka dni temu tylko osoby specjalnie wyróżnione mogły posiadać zegarek, lecz dziś byle blondyn lub brunet wie, która godzina! Nic dziwnego, że cały kraj nie posiada się z radości, wychwalając pod niebiosa naszego Wielkiego Wodza Gondrulasa. Bo przecież tylko Jemu zawdzięcza Gondrulja niesłychaną reformę, która byłaby nie do pomyślenia w innych krajach. Dziękujemy Ci, Gondrulasie! Przejdziesz do historji jako Ten, który rzucił i urzeczywistnił hasło ZEGARKI DLA WSZYSTKICH!"

I teraz Gondrulas żyje sobie w szczęściu i radości. A Don Antonio tak się to wszystko spodobało, że zamierza znowu coś zabronić, a potem zakaz cofnąć. Nie wie tylko, co. Może używania parasoli? Albo też wszelakiego rodzau guzików: okrągłych i nieokrągłych, drewnianych, metalowych lub z kości?

SCRUTATOR

Sprawy polskie w książkach angielskich

TRAKTAT WERSALSKI, HITLER A POLSKA

Tezą propagandy niemieckiej od r. 1918 było, że Niemcy zostały oszukane, upokorzone i uciemiężone. Legenda ta, rozdmuchana przez Hitlera, zatruła społeczeństwo niemieckie, rozpaliła chęć odwetu i doprowadziła do nowej wojny. Studium Lindcya Frasera*, profesora ekonomji politycznej na uniwersytecie w Aberdeen, dokładne i wnikliwe, oparte na bogatym materiale faktycznym, obala legendę o "sztylecie w plecy" armji niemieckiej w 1928 r., o rzekomej niezgodności traktatu wersalskiego ze słynnymi 14 punktami Wilsona, o tym że po wojnie Niemcy stały się niewinną ofiarą bezlitosnych wrogów.

Postanowienia traktatu wersalskiego, jeśli chodzi o Polskę, wypływały z punktu 13 oświadczenia Wilsona. W licznych wypadkach sprzymierzeni poczynili ustępstwa Niemocm. Tak np. ludność Górnego Śląska była w przeważającej większości polska i Górny Śląsk powinien był przypaść Polsce. Mimo to, zgodzono się na plebiscyt i te okręgi, gdzie większość wypowiedziała się przeciwko przyłączeniu do Polski, pozostawiono przy Rzeszy. Podobny wypadek zaszedł z Gdańskiem, znajdującym się w obrębie terytorium zamieszkałego przez bezsprzecznie polską większość. To też, gdyby sprzymierzeńcy przyznali Gdańsk Polsce, nie byłoby to pogwałceniem wilsonowskich punktów. W rezultacie stworzono niezależne wolne miasto i aczkolwiek stało się ono kością niezgody, rozwiązanie wersalskie stanowiło uczciwą próbę dochowania wierności tezom Wilsona.

Fraser ukazuje całą kłamliwość zarzutów Trzeciej Rzeszy przeciwko Polsce, fabrykowanych przez Trzecią Rzeszę od r. 1939. Przypomina kolejne mowy Hitlera z października 1933 r., z listopada tr., ze stycznia 1934 r., z maja 1935 r., ze stycznia 1939 r., podnoszące m. in., że prawo 33 milionowego narodu do dostępu do morza nie może być zakwestionowane. Polemizuje z tezą niemiecką, że gwarancja brytyjska spowodowała nieustępliwość Polski, i udowadnia, że jeszcze przed udzieleniem tej gwarancji Polska zdecydowana była wybrać raczej beznadziejną wojnę — nawet sam na sam z Niemcami — niż przyjęcie warunków, przekreślających całkowicie jej suwerenność. Daje pełny obraz nieuczciwych machinacji dyplomatycznych Hitlera i Ribbentropa w okresie, który poprzedzał wybuch wojny, wraz z zamaskowanym ultimatum dla Polski i groteskową propozycją zagwarantowania nienaruszlności Imperum Brytyjskiego w zamian za odstąpienie od sojuszu z Polską.

Propaganda niemiecka początkowo twierdziła, że to Polacy a nie Niemcy odrzucili propozycję brytyjską bezpośrednch rokowań pomiędzy zainteresowanymi państwami, potem zaczęła głosić, że dn. 1 września pierwsze strzały padły ze strony polskej; Goering powiedział ambasadorowi brytyjskiemu, że Niemcy rozpoczęli działania wojenne dopiero po wysadzeniu przez Polaków mostu pod Tczewem. Równie zmyślone były twierdzenia o okrucieństwach popełnianych na mniejszościach niemieckich w obrębie Rzeczypospolitej. W ostocie rzeczy, zaznacza Fraser, "prawdziwa zbrodnia Polski polegała na tym, że chciała ona walczyć w obronie swego narodowego bytu. To było podsumowanie jej "agresji". "Ce pays est tres agressif; quand on l'attaque il se defend!"

POLSKA NAD BAŁTYKIEM

W książce "We Can Keep the Peace"* powięconej zagadnieniom polityki międzynarodowej, Miss Mairin Mitchell, autorka szeregu prac na tematy morskie, przypomina słowa, wypowiedziane przez przedstawiciela Polski na konferencji sprzymierzonych w St. James'a Palace z dn. 24 września 1941 r. o tym, że Polska pierwsza przeciwstawiła się przemocy wojskowej Niemiec. "Cena, jaką za to zapłaciła, była straszliwa". Autorka podnosi, że nie powinno się to już nigdy powtórzyć.

Sprzymierzeńcy Polski muszą być na tyle silni, by przyszłe Niemcy zrozumiały, że najazd na Polskę po prostu się im nie opłaci. "W szczególności Wielka Brytanja jest zobowiązana do zapewnienia Polsce bezpieczeństwa, gdyż w bitwie o Wielką Brytanję, jednej z najbardziej decydujących dla cywilizaci, lotnicy polscy strącili 195 niemieckich samolotów. Ale i inne kraje wiele zawdzięczają, jeśli chodzi o ich przetrwanie (survival) — oporowi pozostającej bez pomocy (unaided) Polski w czasie najazdu niemieckiego". W interesie wszystkich sprzymierzonych, a przede wszystkim Czechosłowacji, jest rozleglejszy niż dotąd dostęp Polski do morza. Wprawdzie przewaga Związku sowieckiego na Bałtyku jest zagwarantowana ("przewaga Związku na morzu Śródziemnym, być może, przyjdzie z czasem" — dodaje autorka), ale porozumienie z Polską jeszcze bardziej osłoni jego morskie linje komunikacyjne. Umocnienie Polski nd Bałtykiem nie jest bez znaczenia dla Wielkiej Brytanji, skoro jednym z celów najazdu Niemiec na Polskę było przerwanie łączności Wielkiej Brytanji z Bałtykiem.

Już w r. 1803 poeta niemiecki Arndt wskazywał na znaczenie dostępu Polski do morza: Arndt twierdził, że pozbawienie Polski Pomorza oznaczało w gruncie rzeczy koniec niepodległości Polski, gdyż wciśnięta pomiędzy dwa potężne wrogie państwa sama nie mogła się ostać. Gdyby Wielka Brytanja wyzyskała zwycięstwo Nelsona pod Kopenhagą w r. 1801 w celu rozciągnięcia swoich wpływów na Bałtyk, gdyby traktowała Polskę jako swego potencjonalnego sprzymierzeńca morskiego, — zaznacza Miss Mitchell, — dzieje Europy potoczyłyby się inaczej. W czasie obecnej wojny nie można było udzielić Polsce pomocy drogą morską, skoro jej wybrzeże morskie było "żałośnie (pathetically) krótkie" i nierozwinięte. Polska musi być na tyle silna na morzu, by w ewentualnej nowej wojnie z Niemcami móc przeciąć dostawy rudy żelaznej ze Szwecji do Niemiec.

SPOTKANIE Z POLSKIM KONTRTORPEDOWCEM

Richard Dimbleday w książce "The Waiting Year"* opisuje wrażenie reportera przezwanego Mitchell, który w początkach 1943 r. przybył z Bliskiego Wschodu, z przygotowań Wielkiej Brytanii do inwazji. Mitchell odbywa m. in. wycieczkę — w roli sternika z Plymouth na motorowej łodzi rybackiej, pełniącej służbę jako trawler (M. F. V.62), pod komendą kapitana z Nowej Zelandji.

Kiedy wcacali, kanał wejściowy był pusty. Jedynie samotny kontrtorpedowiec pełną parą szedł w kierunku wybrzeża. Przy wejściu do portu

---

*Germany between two wars. A study of propaganda and war-guilt. By Lindley Fraser. (Oxford), Oxford University Press, 1944; str. VII i 1nl. i 184.

*We Can Keep the Peace. By Mairin Mitchell. Londyn. The Grout Publishing, (1945); str. 256 i tabl. 5.

*The Waiting Year. Richard iDmbleby. Londyn. Hodder and Stoughton, 1944; str. 186 i 2nl.

"zbliżył się do nich z rufy.. Spiętrzona od dzioba fala wskazywała, że okręt wojenny nie zmniejszył szybkości wchodząc do portu. Doganiał szybko trawler, ale — wobec braku innego rozkazu — Mitchell trzymał statek na kursie pośrodku wązkiego toru wodnego. Idący z tyłu okręt wojenny utrzymywał swoją pozycję i znalazł się nieprzyjemnie blisko łodzi, kiedy ryk jego syreny ściągnął Nowozelandczyka z kabiny. "Czego do djabła tak się wydziera — mruknął. — Jesteśmy okrętem Jego Królewskiej Mości i jesteśmy na swojej drodze. Niech sobie, psiakrew, zaczeka, Mitchell trzymaj tak jak jest".

"Trzymam tak jak jest" — powtórzył Mitchell, nie racząc rzucić okiem na zbliżający się kontrtorpedowic. Syrena zawyła dwukrotnie znacznie głośniej. Nowozelandczyk ciskał się oburzony po pokładzie, zatrzymał się na chwilę, potem krzyknął: "O, do djabła, to Polak. Ster prawo na burt".

"Leży prawo na burt" — powiedział Mitchell, przekładając szybko szprychy sterowe.

"Trawler wyskoczył ze środka na bok kanału, niechętnie odzyskując równowagę kiedy Mitchell zwolnił stery. Kontrtorpedowiec ukazał teraz polską banderę i z szumem przeszedł o kilka stóp od wątłego statku motorowego. Na mostku pojawiły się trzy głowy, gapiąc się z widocznym zdziwieniem na łódź rybacką z cywilem u steru, płynącą pod banderą wojenną. Potem ktoś przesłał pozdrowienie ręką, na co Nowozelandczk niechętnie odpowiedził i w kłębach piany kontrtorpedowiec oddalił się pozostawiając silną falę, na której trawler tańczył jak jolka.

"To skandal — krzyczał kapitan— Ci ludzie nigdy nie zwracają uwagi na przepisy ruchu i na regulaminy portowe. Zobacz, jak namiędlił". — Wskazał na kontrtopedowiec, który znadując się teraz w pływającej zagrodzie ale idąc ciągle pełną parą, nabrał przechyłu kiedy wziął pierwszy ostry zakręt w kanale portowym.— Ton jego stał się łagodniejszy. "Te chłopy, to cudowni żeglarze. Zadziwiających rzeczy dokonali na kontrtorpedowcach". Z melancholijną zazdrością patrzał na wysmukły szary kształt, znikający w kierunku Devonportu".

* * *

Gordon Holman, autor książki — "Stand by to Beach!" (Londyn, Hodder and Stoughton, 1944; str. 223 i 1nli i tabl. 12), wyciągaąc wnioski z inwazji na Europę i wskazując, że państwo, które chce zachować wolność, musi panować nad morzami, cytuje słowa Polaka Solikowskiego z w. XVI i podkreśla ich aktualność w chwili obecnej. Jan Dymitr Solikowski (1539-1603), sekretarz królewski, potem arcybiskup lwowski, autor dzieła "Commentarius brevis rerum Polonicarum a morte Sigismundi August", był jedny mz nielicznych działaczy polskich, którzy doceniali znaczenie morza dla Rzeczypospolitej. Dowodził on, że "każdemu panu i narodowi więcej na morskim państwie zależy, niż na ziemskim, bo i większe i prętszo pożytki morzem, aniżeli ziemią, i większe i prętsze szkody a niebezpieczeństwa przychodzą. Dlatego kto ma państwo morskie a nie używa go albo je sobie da wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddala a wszystkie szkody na siebie przywodzi, z wolnego niewolnikiem się stawa, z bogatego ubogim, z swego cudzym, z pana kmieciem".

* * *

W przełożonej przez E. W. Dickensą książce profesora Sorbony Edmunda Vermeila "Germany Three Reichs. Their History and Culture"— (Londyn, Andrew Dakers, 1944, str. 420) czytamy m. in.: "Dn. 15 sierpnia 1939 r. Niemcy rozpoczęły całkowitą mobilizację. Polska zmobilizowała dopiero 31 sierpnia i ta zwłoka kosztowała ją drogo. Ale jeśli by nawet zmobilizowała wcześniej, cóż mogła począć przeciwko krajowi z tak intensywną wytwórczością przemysłową? Trzy tygodnie wystarczyło by zlikwidować całkowcie państwo polskie, stwrzone po r. 1919. W połowie września cała Polska zachodnia była podbita, a armja rosyjska nie traciła czasu by najechać ziemie wschodnie. Nowy rozbiór, jeszcze tragiczniejszy niż poprzednie, był bezpośrednim skutkiem tej podwójnej kmpanji, niemieckiej i rosyjskiej."

* * *

Omawiając roszczenia Z.S.R.R. do polskich ziem wschodnich, Amerykanin Harold Callender pisze w swojej "A Preface to Peace")Londyn, George Allen and Unwin, 1944; str. IX i 1nl. i 3 — 288 i 2nl. i VI): Rosja będzie bez wątpienia utrzymywała, że mieszkańcy znacznej części, jeżeli nie wszystkich tych terytoriów, pragną panowania rosyjskiego. Można było na to odpowiedzieć, że jedyną drogą, prowadzącą do ujawnienia istotnego stanu rzeczy, są plebiscyty. Rosja dowodziła, że takie właśnie plebiscyty odbyły się w państwach bałtyckich i anektowanych ziemiach polskich. Ale tego rodzaju plebiscyty napiętnował ojciec rewolucji sowieckiej, Lenin, dn. 8 listopada 1917 r., kiedy oświadczył że "plebiscyty", przeprowadzone podczas okupacji wojskowej przez państwo okupujące, są zwykłymi aneksjami. Nie mają one innego charakteru niż plebiscytu przeprowadzane przez Hitlera czy Mussoliniego, których rezultatem było prawie jednogłośne zatwierdzenie ich regime'ów."

OPINJE I ZDARZENIA

PAN MIKOŁAJCZYK ZA SZYKOWĄ I CĘKALSKIM

Według depesz, których ścisłości nie sposób nam sprawdzić pan Mikołajczyk ogłosił w Londynie oświadczenie, wyrażające zadowolenie z uchwał powziętych odnośnie Polski w Jałcie. Nie mając pełnego tekstu tego dokumentu nie wydajemy o nim ostatecznego sądu — ale tak jak rzecz jest w prasie nowojorskiej przedstawiona — wygląda wszystko na to, że pan Mikołajczyk podpisał taki sam dokument jak ten pod którym tutaj w Nowym Jorku położyli swe nazwiska pani Szykowa i pan Cękalski.

Pan Mikołajczyk — jak wiadomo nie poczuwa się od grudna 1944 roku do żadnych obowiązków obywatela polskiego, który według konstytucji zarówno pomajowej jak przedmajowej winien jest lojalność swemu rządowi i niema prawa poza plecami jego i wbrew jego woli negocjować z obcemi rządami. Pan Mikołajczyk nic sobie nie robi z polskich władz, nie obchodzi go to, co czuje i myśli polskie wojsko. Władzą dla pana Mikołajczyka jest "póki co" pan Churchill.

Mimo to — rozmaici byli a jak im się wydaje i przyszli podwładni pana Mikołajczyka rekomendują go jako wielkiego patrjotę, gotowego do wszelkich podróży dla dobra Ojczyzny, za polskiego Bismarcka i Benesza, który położy w końcu kres polskiemu nieszczęsnemu romantyzmowi, gnębiącemu Polskę przez kilkaset lat od Sobieskiego do Piłsudskiego, od bitwy pod Pskowem do Monte Cassino. Czy pan Mikołajczyk w zaślepieniu swem naprawdę nie widzi, że gdyby nie rząd Arciszewskiego — sprawa polska już do tej pory przestałaby być sprawą międzynarodową — czy też wiedząc to, uważa że jednak jego osoba jest ważniejsza niż dobro Polski? Czy ów opiewany przez pana Pruszyńskiego — polski Richelieu z Pipidówki nie rozumie, iż wyrażając dziś zgodę na rozbiór Polski grzebie możliwości poprawy naszego losu wciąż liczne i różnostronne i czyż naprawdę w tej tragicznej dla Polski chwili nie znajduje żadnego innego środka przysłużenia się krajowi — tylko przyłączenie się do polityki, za którą już dwa tygodnie przed nim wypowiedzały się Julja Szyk i Rulka Langer?

NIEPOWAŻNA POLEMIKA

Artykuł wstępny, któryśmy pomieścili w No. 14 "Tygodnika Polskiego" pt. "De Gaulle a wolność Europy" został skarcony na honorowm miejscu w "Nowym Świecie" w dłuższem podpisanem inicjałami "J. S." rozważaniu. Artykuł nasz, jak czytelnicy nasi pewno pamiętają, był bardzo ostrożny w ostatecznych wnioskach i uwzględniał bezstronnie zarówno cienie, jak blaski przeszłości polsko francuskiej i widoki na przyszłość tych stosunków. Publicysta "Nowego Świta" zadał sobie znacznie mniej niż my fatygi. — Stwierdził on, że Francja od Napoleona poczynając zawsze nas zdradzała i że napewno jeszcze raz zdradzi "małe narody" skoro tylko dostanie dobrą za to od Aljantów zapłatę.

Nie wydaje nam się, aby prostolinijność tak daleko posunięta była wskazaną w ocenie jednego z najważniejszych dziś dla Polski zagadnień na łamach pisma, które uchodzi słusznie za wyraziciela znacznego odłamu Polonji Amerykańskej.

Wolno bowiem, bez rozmijania się z objektywizmem oceniać najsurowiej



WILLIAM HENRY CHAMBERLIN

Świetny publicysta amerykański, którego artykuły o stosunkach polsko-rosyjskich w "The American Mercury" a ostatnio w "World Telegram" wywarły tak wielkie wrażenie na opinię amerykańską.

brak konsekwencji i niestałość francuskiej względem nas polityki, co i myśmy w naszym artykule najmocniej podkreślili. Można obawiać się, że gen. de Gaulle nie zdoła utrzymać się w tak bardzo trudnych warunkach na najwyższym poziomie swych politycznych planów i idei, czemu i my daliśmy wyraz.

Ale mówić — innymi niż Wiech słowy — że wszystko co Francja uczyniła w ciągu wieków w stosunku od Polski były to tylko "pic i nawalanka" dowodzić, że Napoleon niczego absolutnie dla Polski nie zrobił, że Francja po wielkiej wojnie "nabrała Polskę" (co z artykułu "Nowego Świata" wynika) — jest to doprawdy zbytnio bezceremonjalna i domowa historjozofja, na którą nie powinno być miejsca w piśmie, które tyle troski okazuje o przyszłość Polski i wie napewna, że jest ona również w pewnej mierze i od Francji zależna.

Profesor Askenazy pięknych parę tomów wydał, aby ustalić jak to było naprawdę ze stosunkiem Napoleona do Polski całe seminarja w Polsce gromadziły dla tych studjów dokumenty i materjały — i oto dowiadujemy się nagle, że to było wszystko nic, że to iż dzięki Napoleonowi sprawa polska z wewnętrznej sprawy zaborców stała się znów ogólną wogóle żadnego nie miało znaczenia.

Archiwa polskiej dyplomacji pełne są aktów, świadczących, że po poprzedniej wojnie — Francja, jedna Francja w całej Europie popierała Polskę we wszystkich niemal jej pretensjach terytorjalnych, że na terenie Genewy — nikt inny tylko sam niszczęsny Briand zawsze brał polską stronę przeciw Anglikom; są niezbite dowody, że to, cośmy dostali z Górnego Śląska, w znacznej mierze zawdzięczamy — bardzo zresztą nam niechętnemu Berthelotowi — a niefrasobliwy publicysta z "Nowego Świata" mówi nam "Dajcie nam i sobie spokój z całą tą Francją — to jest wogóle fiume".

Czy panu J. S. nie przyszło na myśl, że to jednak liberalna opinja francuska, przez sto lat broniła Polski i nie pozwolła, aby zostało zagłuszone jej imię i stłumione słowa jej buntu. Że to jednak w Paryżu — Chopin, Mickiewicz, Norwid i Słowacki podnosili głos wolny i stamtąd byli przez naród słuchani.

Czy wreszcie nasz kolega z "Nowego Świata" nie czyta gazet nowojorskich, które pełne są wieści z Paryża, pozwalających uważać, że jednak dzisiejsza polityka francuska jest bardziej skomplikowana niż się p. J. S. wydaje?

Naprawdę, że czasy są zbyt poważne "Nowy Świat" zbyt ważną już dziś jest pozycją, aby mógł sobie pozwalać na taką domową politykę, która nam napewno nie zyska przyjaciół, tak nam dziś bardzo potrzebnych i to wbrew temu co p. J. S. myśli, wśród Francuzów również.

NOWY POMNIK KOPERNIKA

Profesor Mierzwa należy do tych rzadkich ludzi, którzy czego się podejmą, robią jak umieją najlepiej, którzy robią tylko to, co im wydaje

się ważne i wskutek tego pracują zawsze con amore i zawsze mają trwałe tej pracy wyniki. Jest to naprawdę niepotrzebne przypominać ile prof. Mierzwie zawdzięcza Fundacja Kościuszkowska a przez nią nauka polska, zwłaszcza w tym żałosnym czasie. Jak Ludwik XIV "Państwo—to ja", prof. Mierzwa miałby prawo powiedzieć "Fundacja Kościuszkowska — to ja" tak cała w niej praca patronowana przez świetne nazwiska — spoczyw na nim, nie dlatego, aby inni nie chcieli robić, ale poprostu dlatego, że gdzie prof. Mierzwa pracuje tam dla innych już niema roboty.

Pisaliśmy dwa lata temu na tych stronicach pt. "Kopernik uczczony jak należy" o wspaniałym obchodzie, zorganizowanym przez Fundację Kościuszkowską w Carnegie Hall w jubileuszowy pmiętny wieczór. Jak wiadomo w Ameryce niema jak w Anglji i Niemczech starych tradycji akademickich to też obchód w Carnegie Hall był pewnego rodzaju sensacyjną nowością, prof. Mierzwa bowiem zdołał poprostu przeistoczyć Carnegie Hall w Sorbonę czy College de France, a pocichu powiedzieć można, że nawet tam niezawsze wszystko były na takim poziomie jak na owej imprezie, za którą prof. Mierzwa tyle się nabiegał, naprosił, namówił i która była poprostu wielką fetą niezapomnianą i przykładem dla wszystkich jak robić uroczystości solenne a nie nudne, demokratyczne a elegnckie.

Niczego nie brakło na tym wieczorze niezapomnianym. Od słów głębokich prezydenta Roosevelta poprzez wypowiedzi wielkich matadorów wiedzy światowej do najwyższej sztuki, rozbrzmiewającej pod palcami Landowskiej i pod smycząkiem Hubermana. Ach! I jeszcze Zygmunt grał cudownie zachowanym na płycie dźwiękiem. I sam Einstein mówił mądrze i wesoło.

Wydana właśnie na świetnym papierze, graficznie luksusowa, z sumiennością profesorską a przejrzyście i żywo jakby ją mistrz dziennikarski układał książka "Nicolas Copernicus A Tribute of Nations" jest utrwaleniem owej rocznicy pamiętnej, którą prof. Mierzwa zorganizował w całej Ameryce a której świetny wieczór w Carnegie Hall był szczytową apoteozą.

Prof. Mierzwa zawsze konkretny i realny, choć tak pełen wielkich pomysłów — rozumiał dobrze, że jeżeli po owych wielkich obchodach nic nie zostanie będzie to mówiąc gwarowo: "rzucanie liści na bieżącą wodę", że rok kopernikowski tylko wtedy będzie trwałym dokonanem dla dobra polskiej nauki a przez to i Polski — jeżeli to co wtedy powiedziano, zostanie na wieki wieczne zapisane, tak żeby po latach jeszcze badacz i zwykły czytelnik mógł dowiedzieć się nietylko o obchodzie w Nowym Yorku, ale i o bez liku manifestacjach naukowych, radjowych audycjach i o wzruszających obchodach szkolnych, które wtedy odbyły się na całej przestrzeni Ameryki i świata.

Nowa książka znakomicie to wszystko ujmuje, streszcza i przypomina. Niezliczone, luksusowo odbite fotografje, teksty mów i adresów, z deklaracją prezydenta Roosevelta, dziś tak wzruszająco pamiątkową na czele, wykaz depesz, adresów i obchodów — wreszcie ikonografja kopernikowska w znacznej części dotąd nieznana — składają się na całość, która jest dla kultu i znajomości Kopernika pozycją pierwszorzędną, dla propagandy polskiej — nabytkiem najwyższej klasy i dokumentem, świadczącym że istnieją twarde i zarazem serdeczne Polaki jak prof. Mierzwa, które potrafią tworzyć rzeczy trwałe i każdą robotę doprowadzić do świetnego końca.

Oczywiście wszystkie bibljteki zaraz tę książkę kupią. Ale niech i "cywile ruszą kieszenią czy pugilaresem. To brdzo piękny tom, który każdy Polak mieć powinien u siebie i świecić nim w oczy cudzoziemcom.

PRAWDY NIE DA SIĘ UKRYĆ

Znakomita książka Williama L. White "Report on the Russians" zyskała sobie, mimo bardzo wrogich krytyk prasy prosowieckiej sukces wyjątkowy i z każdym tygodniem zajmuje coraz wyższe miejsce na liście best-sellerów. Jeden dowód więcej, że prawda zwycięża jeśli ją głosić, jeszcze jedna nauka, żeby nie kryć jej pod korcem.

PISARZE FRANCUSCY

Według ostatnio nadeszłych z Paryża wiadomości zmarł tam w bardzo podeszłym wieku jeden z najwybitniejszych pisarzy teatralnych Maurice Donnay, którego sztuka "Les Amants" była w swoim czasie prawdziwą rewelacją repertuaru francuskiego. Donnay debiutował jako poeta w kabaretach literackich w epoce "Chat noire'u", zakończył zaś karjerę jako członek Akademji Francuskiej.

Nadeszła też wiadomość iż odebrał sobie w Paryżu życie Pierre Drieu la Rochelle, wybitny powieściopisarz i krytyk, który w czasie wojny należał do najzaciętszych kolaboracjonistów, prowadząc na łamach "La Nouvelle Revue Francaise" politykę uległości Niemcom i przebudowy Francji w duchu nazizmu.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ TYGODNIKA POLSKIEGO

W lokalu "Tygodnika Polskiego" odbyło się zebranie konstytucyjne "Stowarzyszenia Przyjaciół Tygodnika Polskiego".

Po otwarciu zebrania przez p. J. Lechonia, przewodnictwo objął p. Władysław Korsak.

Na wstępie uczczono przez powstanie pamięć Zygmunta Tebinki — jednego z pierwszych inicjatorów i członków Stowarzyszenia. Następnie p. Leopold Wellisz złożył sprawozdanie finansowe oraz sprawozdanie z działalności Komisji organizacyjnej Stowarzyszenia, które zostało przyjęte przez zebranych. Po krótkiej dyskusji obecni przyjęli statut Stowarzyszenia zreferowany przez p. Mecenasa Gutowskiego.

W myśl statutu walne zgromadzenie członków wybrało Radę Stowarzyszenia, w skład której weszli:

Ksiądz Stefan Bartkowski
Ksiądz Bolesław Bojanowski
Władysław Gieysztor
Ksiądz B. E. Góral
Mecenas Stanisław Gutowski
Prof. Oskar Halecki
Minister Władysław Korsak
Prof. J. Kucharzewski
Prezes Ignacy Nurkiewicz
Leopold Wellisz

Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali:

Wacław Bitner
Adam Koc
Ksiądz Marcin Lipiński

Na zokończenie zebrania p. J. Lechoń złożył sprawozdanie redakcyjne.

W POPRZEDNIM 15 (120) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Stanisław Stroński: Wartość Aktu Waszyngtońskiego; Stanisław Baliński: Smutek zwycięstwa; Zygmunt Nowakowski: "...Bogu Wszechmogącemu.."; Józef Relidzyński: W cieniu oliwki; Jerzy Bazarewski: "Wesele Krakowskie" w Forli; Janusz Laskowski: Gołąb nie usiadł; Mieczysław Pruszyński: Historja Jednego aeroklubu; De Gaulle And The Freedom Of Europe; Opinje i zdarzenia.